

Michał Kowalski

Uniwersytet Wrocławski, Wydział Nauk Historycznych i Pedagogicznych, Instytut Historii
<https://orcid.org/0000-0002-7320-1140>
michal.kowalski@uwr.edu.pl

„Wokół nas morze ognia”

Streszczenie

Wystawa „Wokół nas morze ognia” to w ostatnich latach najważniejsza wystawa o powstaniu w getcie warszawskim. Odarta z patosu i zadęcia przypatruje się losom zwykłych ludzi, którzy postanowili przetrwać piekło za wszelką cenę. Pozwala dotknąć ich doświadczenia i stwarza warunki, by współcześni mogli zrozumieć, do czego zdolny jest człowiek. Zarówno ten, który zabija, jak i ten, który usiłuje przetrwać.

Słowa kluczowe

Holokaust, Zagłada, Muzeum Historii Żydów Polskich Polin, wystawa, powstanie w getcie 1943, 80. rocznica

Abstract

The “Around us a Sea of Fire” exhibition is the most important exhibition about the Warsaw Ghetto Uprising in recent years. Stripped of pathos and pomp, it looks at the fate of ordinary people who decided to survive hell at any cost. It allows us touch their experience and creates conditions for contemporaries to understand what people are capable of. Both the one that kills and the one that tries to survive.

Keywords

Holocaust, Holocaust, Polin Museum of the History of Polish Jews, exhibition, ghetto uprising 1943, 80th anniversary

Jak znaleźć się blisko strachu, ścisłu, zatęchłego powietrza, przepoconych ciał, niepewności, rozpacz, samotności, zdrady, oczekiwania na nieuchronny koniec, a czasem tłącej się jeszcze nadziei? Jak znaleźć się blisko tych, którzy nie zaistnieli w wielkiej Historii? Jak pokazać walkę zwykłych ludzi, którzy postanowili przeżyć wbrew wszystkiemu i wszystkim?

„Wokół nas morze ognia” – wystawa w Muzeum Historii Żydów Polskich Polin w Warszawie według koncepcji prof. Barbary Engelking i kuratorki Zuzanny Schnepf-Kołaczk – odpowiada na te pytania w sposób odważny i ponadprzeciętny. Przede wszystkim dlatego, że sięga po historię opowiedzianą z perspektywy zwykłych ludzi. Cywili. Tych, o których zapomina się najszybciej, a później

najtrudniej odtwarza się ich ścieżki. Autorki wystawy oddają głos zwykłym osobom, które pozostawiły po sobie świadectwa o powstaniu w getcie jeszcze w czasie wojny albo tuż po jej zakończeniu. To bardzo wyraźnie zarysowany horyzont narracji, która poza personalną i osobistą perspektywą odważnie zrezygnowała z nadużywanych niemieckich zdjęć z getta, pochodzących głównie z raportu Jürgena Stroopa. To dość przewrotne, że opór pozostałych przy życiu kilkudziesięciu tysięcy Żydów w kwietniu i maju 1943 r. zazwyczaj oglądamy oczami fotografów pracujących dla nazistowskiej propagandy. Ta wystawa radykalnie to zmienia.

Autorki na pierwsze miejsce wysuwają ludzi, których nie dostrzega wielka Historia uwielbiana przez oficjalne, często pompatyczne narracje. Opowieść przedstawiana w Polin nie skupia się na bohaterach i flagach, lecz na zwykłych ludziach, którzy postanowili przetrwać wbrew wszystkim okolicznościom. Przez poszczególne stopnie piekła zgotowanego Żydom przez oddziały Stroopa prowadzą nas zatem cytaty z dwunastu dzienników i pamiętników żydowskich. Odnalezione opowieści przywracają zapomniane losy mieszkańców getta. Nici osobistych zdań wyrażają ich emocje i odczucia. Zbliżają do losu pojedynczego bohatera, który 19 kwietnia 1943 r. przeszedł do getta nie po to, by walczyć, ale by zobaczyć się z rodziną podczas święta Pesach – tak, jak to uczynił jeden z narratorów wystawy, Łazarz Menes.

Pojedyncze historie budują siłę przekazu ekspozycji. Łazarza poznajemy w przedsiönku wystawy oznaczonym datą wybuchu powstania. Przedsiönku, który po otwarciu drzwi przechodzi w długi, prosty korytarz z podziałem na część żydowską i polską. Po prawej znajduje się strona polska – symbolizują ją zdjęcia huštawki i karuzeli na pl. Krasińskich na tle murów getta, zbiegowiska przechodniów gromadzących się mimo dymu i zagrożenia. „Żydki się palą! Żydki skaczą!” – wyraźny napis wyraźnie wskazuje na różnicę perspektyw. Bezpiecznej, cynicznej, podglądającej – polskiej. I walczącej – żydowskiej. „Getto powstało. Getto powstało” – to jeden z cytatów po lewej stronie korytarza, pochodzący z dziennika Maryli, unikalnego dokumentu epoki, ocalałego na Majdanku w Lublinie, który również można zobaczyć na wystawie. „Na dachach siedzieli ludzie. Polacy i przyglądali się temu, co się u nas dzieje. Oglądali nas mniej więcej tak, jak Rzymianie z czasów Nerona oglądali «żywe pochodnie» utworzone z palonych żywcem chrześcijan” – czytamy słowa Symchy Binema Motyla, który zdołał przeżyć dramat warszawskiego getta razem z żoną Nechą.

Wystawę organizuje klarowny podział wydarzeń na osi czasu, której początkiem jest wybuch powstania. Oś czasu jest niewidoczna, ale wyczuwalna. Zaczyna się wspomnianym krótkotrwałym wybuchem walk oraz zarysem pierwszych dni, oglądem postaw polskiej strony, i prowadzi do centralnego, jednego z ważnych punktów całej wystawy – świata bunkra. Miejsca głodu, braku powietrza, ścisłu, smrodu ludzkiej codzienności, braku wody, wymuszonej ciszy splecionej z dramatyczną obawą „dziecko nas zgubi”. Ta część wystawy podzielona na sześć pomieszczeń, opowiada perspektywę pozostałych przy życiu mieszkańców get-

ta, którzy zeszli do podziemi. Mieszkańców, którzy zdecydowali się w nim być do końca, gdzie dopiero, jak pisał Adolf Polisiuk, panująca ciemność odbierała jakakolwiek nadzieję. A później było już tylko oczekiwanie na nieuchronny koniec. „Podszedłem do kranu umyć ręce, odkręcam kran i czuję gorącą wodę, przeszły mnie ciarki, oblały mnie zimne poty. Nagle stało się dla mnie jasne, że wokół nas wszystko płonie” – to słowa Maura z czasu, gdy Niemcy zaczęli palić kamienice w getcie. Z wystawy dowiadujemy się, że był bundowcem, zatrudnionym w szopie Bauera. W czasie powstania ukrywał się razem z pięcioma kobietami, czterema mężczyznami i trojgiem dzieci. Wydostał się na aryjską stronę, ale był tam szantażowany. Wówczas wrócił do zniszczonej dzielnicy żydowskiej po schowane tam pieniądze. Nigdy już nie wrócił.

Z bunkra wychodzimy do kolejnego miejsca w przestrzeni getta i etapu w czasie – następnej sali. Idziemy do przodu razem z bohaterami narracji. Już ich wyciągnięto z piwnic, wypędzono wśród nienawistnych okrzyków. Tylko po to, by upodlić jeszcze bardziej. „Sunie my wolno na Umschlagplatz” – widzimy zrobione z ukrycia kadry pokazujące prowadzonych na wywózkę do Treblinki Żydów, sfotografowanych przez Zbigniewa Leszka Grzywaczewskiego. I ponownie poznajemy tamten świat przez słowa. „Sunie my wolno, potykając się o stopy zwalonych gruzów, otoczeni szpalerem zwycięzców. [...] Smocza, Gęsia, Zamenhofs, Niska, wreszcie Umschlagplatz. Krwawy męczeński szlak” – to wspomnienie należy do Sewka Okonowskiego, który notował swoje przeżycia do 20 października 1943 r. Jego losy pozostają nieznane, jego dziennik został przypadkowo odnaleziony w roku 1950.

Ostatnim głosem warszawskiego getta stali się „gruzowcy” – ci, którzy zostali w getcie po zakończeniu powstania, 16 maja 1943 r., i po wywiezieniu przez nazistów praktycznie wszystkich mieszkańców dzielnicy zamkniętej. Ich losy oglądamy na podstawie wspomnień pozostałych przy życiu Leona Najberga, Łazarza Menesa czy Mieczysława Barucha Goldmana. Te losy rozgrywały się wciąż w sercu okupowanej stolicy. Ci ludzie nie mogli liczyć na pomoc z zewnątrz. Byli kompletnie samotni i w zniszczonej dzielnicy skazani wyłącznie na siebie. Gdzieś w tym momencie orientujemy się, że polskich współobywateli już dawno w tej opowieści nie ma. Są za to słowa Leona Najberga z 25 września 1943 r. „Z 45 osób naszej grupy żyją tylko 4. [...] jestem wyczerpany i puchnę z głodu”. Albo słowa Stelli Fidelseid, która w bunkrze urodziła dziecko: „[...] Pokarmu nie miałam zupełnie. [...] Maleństwo karmiłam tylko cukrową wodą. Biedactwo wciąż było głodne i żałośnie kwiliło [...], słabło z dnia na dzień. Bardzo cierpiałam, że nie mogę mu w niczym pomóc”.

Wystawa pokazuje świat Zagłady z perspektyw, które czynią ją uniwersalną i ważną. To wystawa głęboko osobista, personalna, odnajdująca twarze ludzi, którzy w różnych okolicznościach przetrwali zagładę getta. Przetrwali też wojnę albo zginęli w jej trakcie. Poznajemy tragedię przez słowa, które są żydowską opowieścią o próbie przetrwania. To opowieść intymna, odnajdująca twarz ofiary, głęboko empatyczna, która przemawia zwykłością opisu, pomaga zrozumieć.

Odzyskuje właściwy sens z odhumanizowanego języka, próbującego opisać masowe zabijanie. Oddaje głos żydowskiemu światu mordowanemu w samotności za murem.

Opowieść tego świata jest ważniejsza niż zdjęcia autorstwa oprawców. To świat oglądany jego własnymi oczami i oczami współczujących świadków. Mówią ofiary, słowa konkretnych osób. Narracja wystawy pozwala, by pozostawione nieliczne świadectwa mogły wybrzmieć, przypomnieć o sobie, zostawić ślad. Oparta na głęboko humanistycznym przekazie świata zmienia wielkie pojęcia historyczne w uniwersalizm antycznej tragedii. Przywraca właściwą rolę tego, który opowiada i przekazuje swoje doświadczenie. To zwykły człowiek posiadający imię, nazwisko, uczucia, doświadczenie, własne życie. Człowiek, który postanowił przetrwać, mimo że według nazistowskiej ideologii należało go zamordować. To ten sam rodzaj spojrzenia, jaki znajdujemy w humanistycznej opowieści o przeszłości. Perspektywa przydatna także do opowiadania teraźniejszości, co właśnie uczyniła Agnieszka Holland w *Zielonej granicy*. Nadając ludziom z masy „uchodźców” i „imigrantów” imiona, odtwarzając ich losy, przeciwdziałamy obojętności i nienawiści. To właśnie przynosi refleksję, która jest zawsze szansą na dostrzeżenie w bezimiennych nas samych. Perspektywa zapobiegająca odhumanizowaniu przywraca człowieczeństwu właściwy punkt ciężkości. Stąd też wystawa w Polin na poziomie opowieści historycznej jest tak znacząco uniwersalna. Nie jest to współczesne wyobrażenie przeszłości budowane przez popkulturę, czy oglądanie przeszłości przez pryzmat destruktu z wykopalisk. Zresztą artefakty są tu śladowe. Człowiek jest ważniejszy niż zniszczony przedmiot, pozostałość wykopana z ziemi nie jest jedynym obrazem przeszłości, to raczej współczesny element, świat pamięci, sfera symboliki (jak klucze). To bliskość odczytywanych zdań żydowskich świadków przywołuje ludzi, a nie to, co po nich pozostało.

Oszczędność w doborze przedmiotów, wystawienniczy zmysł, minimalizm formy, szarość betonu, wyrazistość kolorów, słów i dobranych cytatów, są wartościami samymi w sobie, podobnie jak fotograficzne eksponaty. Jest wśród nich dziesięć zdjęć zrobionych przez Stanisława Baranowskiego, fotografa amatora, który zarejestrował płonące getto. Są też slajdy Zbigniewa Borowczyka, które zamurował w piwnicy swojego domu i wydobył w 1945 r., wśród nich nocna luna nad gettem. Jest też zdjęcie 23-letniego Bohdana Wójcika mieszkającego na Żoliborzu. Są odkryte w archiwum rodzinnym negatywy warszawiaka, taternika, inżyniera Rudolfa Dameca, ukrywającego Żydówkę Helenę Ronin. Są także negatywy Zbigniewa Leszka Grzywaczewskiego – jedyne fotografie poza niemieckimi, które wykonano w getcie podczas powstania. Z 32 ogółem zrobionych przez niego zdjęć, tylko dwanaście było publikowanych wcześniej. Na wystawie prezentowana jest cała klisza wykonana przez strażaka, który robił fotografie w czasie pilnowania, by pożary w getcie nie zagrażały stronie aryjskiej. To materiały niezwyklej wartości, unikatowe, pojawiające się na tej jednej, konkretnej wystawie, i odnalezione z myślą o niej. Tak właśnie było z rolką ze zdjęciami

Grzywaczewskiego, poszukiwaną przez pół roku przez jego syna Macieja. Ważne i wymagające podkreślenia jest również nastrojowe słuchowisko, które otrzymujemy w dźwiękowej płaszczyźnie wystawy. Głosy jej narracyjnych bohaterów pojawiają się w słuchowisku Pawła Mykietyna. Towarzyszy im muzyka bazująca na dziełach jedenastoletniej pianistki Josimy Feldszuh. Uzdolniona dziewczynka, będąc po stronie aryjskiej miała szanse na przeżycie, ale w 22 kwietnia 1943 r. zmarła z powodu zapalenia płuc.

Skomponowanie, nagranie i stworzenie słuchowiska czy poszukiwanie kliszy filmu przez Macieja Grzywaczewskiego uzmysławiają, że mamy do czynienia z głęboko przemyślanym konceptem i olbrzymią pracą wszystkich, którzy przyczynili się do powstania wystawy. Dzięki temu otrzymaliśmy przemyślany i przedyskutowany obraz, który podejmuje próbę przyswojenia rozgrywającej się w samotności katastrofy. Dzięki zmierzeniu się z dramatem wprost pojawiła się dawno niewidziana w przestrzeniach wystawowych propozycja stawiająca na zwykłość. To podróż reportera przez gruzy, z notatnikiem z nadpalonymi stronami, wypełnionym notatkami zrobionymi rozmazanym od łez pismem. To wizja człowieka świadomego nieodwracalności końca, zapisującego mozolnie to, co można jeszcze znaleźć, uparcie przywrócić teraźniejszości. Ta wyjątkowość szczegółowej narracji i opowieści doskonale znana jest z innych koncepcji Barbary Engelking i współpracujących z nią osób. Dobrze, że udało się znaleźć miejsce dla takiej opowieści, zwłaszcza w roku tak ważnym z punktu widzenia pamięci o Zagładzie. Dzięki temu właśnie głosy „z morza ognia” mogły zostać usłyszane – mimo że celem tego ognia było wymazanie ich z powierzchni ziemi.